

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Ludwik Berger
Władysław Broniewski
Roman Fajans
Aleksander Janta
Zygmunt Nowakowski

Vol. 3. Nr. 26 (131)

Nowy Jork, 1go lipca -- New York, 21, N. Y., July 1st, 1945.

Cena 20 ct.



POLICHROMJA JANA HENRYKA ROSENA W KOŚCIELE
ŚW. JADWIGI W TRENTON (NEW JERSEY)

RZĄD MOSKIEWSKI

Wbrew oczekiwaniom, do których zarówno rozsądek jak nieuleczalna polska wiara w ludzi nas upoważniały — rokowania o “utworzenie rządu prowizorycznego” jak mówili Amerykanie i Anglicy czy też o “poszerzenie rządu Bieruta i Osóbki”, jak mówiła Moskwa poszły zadziwiająco szybko i gładko.

Skoro bowiem tylko zapadł wyrok na Przywódców Polski Podziemnej, pp. Mikołajczyk i Stańczyk zgodzili się na przystąpienie do rządu lubelskiego następnego dnia zaś zjawili się w loży w Operze Moskiewskiej, gdzie oklaskiwali hucznie “Słoneczko ludów” i sławny balet bolszewicki.

Według wszelkich więc danych jeśli nie gdzieś coś nieoczekiwanego za parę, czy za kilkanaście dni prawowity Rząd Polski przestanie być uznawany przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię i w ambasadach polskich dawni czy nowi urzędnicy zaczną pracować pod okiem agentów Gepeu, występujących jako ludzie zaufania pp. Bieruta i Mikołajczyka.

Tak zwany “rząd polski”, utworzony w Moskwie, który w każdym razie jako powstały z pogwałceniem niepodległości i suwerenności polskiej nawet przy najzyczliwszej dla nas interpretacji umów w Jaltcie — zawsze byłby rządem Polsce narzuconym, w tej formie w jakiej powstał jest nawet nie rządem marjonetkowym, ale po prostu rządem agentów moskiewskich, rządem Gepeu, rządem zdrajców i morderców narodu polskiego.

Panowie Mikołajczyk i Stańczyk, którzy dotychczas jeszcze wstydzili się łączyć z tą szajką, teraz gdy dokonana została najstraszliwszą zbrodnią znieważenia i skazania bohaterów Polski Podziemnej zmienili gust i zdanie i postanowili przyjąć odpowiedzialność za to, co się dzieje w Polsce.

Ta, mniej nieprawdopodobna, niż nam się zdawało spółka jest więc podstawą nowego tworu, nazywanego “rządem prowizorycznym”, a powstałego w Moskwie, pod naciskiem Moskwy i będącego rządem moskiewskim, rządem połączonych najazdu i zdrady, przeciwko któremu protestują wszyscy wolni Polacy, któremu nigdy nie przysięgnie wojsko polskie i który liczyć może co najwyżej na nie-nawistną bierność nieszczęsnego naszego kraju.

Jak dotychczas wygląda — Polacy z Kraju, na prawdę zagrożeni, na prawdę pozostający pod przymusem, okazali w czasie rokowań moskiewskich odwagę i honor, solidarność z uwięzionymi i spotwarzonymi braćmi; jak dotychczas, nie wiemy, czy Wincenty Witos na prawdę został zmuszony do firmowania tego rządu i czy znajdują się w nim jakieś inne poważne z kraju nazwiska.

Jeżeli jednak tak się nawet stanie, jeżeli jacyś Polacy nieposzlakowani, pod groźą śmierci albo

w nadziei ratowania rodaków będą zmuszeni brać udział w tej tragifarsie — to, jak nieraz to mówiliśmy i dziś powtrzymamy, będą oni rozgrzeszeni z tego co uczynią, jako ludzie będący w niewoli, jako zakładnicy, których nikt, kto jest na wolności nie ma prawa sądzić.

Inna natomiast ocena stosowaną być musi i będzie względem Polaków wolnych, żadnemu przymusowi niepodległych, którzy podpisali się pod aktem sankcjonującym zabór połowy naszej ziemi, przekreślającym naszą niepodległość i skazującym wojsko polskie na bezdomną tułaczkę.

Pp. Mikołajczyk i Stańczyk taki właśnie akt podpisali, wchodząc do owego zdradzieckiego rządu bez żadnej nadziei, aby mogli coś w jego działaniu odmienić, czyli że przyłączyli się do niego po prostu jako powolni współpracownicy Bieruta i Osóbki.

Morderstwo Armji Krajowej, hańba procesu moskiewskiego, potworność masowych deportacji i rozstrzeliwań Polaków — obciążają odtąd tak samo p. Mikołajczyka jak Bieruta i Moskali.

Ludzie naiwni i poczciwi, którym podobna potworność nie może się w głowie pomieścić — do niedawna jeszcze pytali się zdumieni jakimi pobudkami rządzi się pan Mikołajczyk i co to jest za człowiek. Sądźmy, że tym niepewnościami i wahaniem teraz ostatecznie sam pan Mikołajczyk kres położył.

To, że rokował on z Moskwą w chwili, gdy jego ministrowie sądzeni byli przez najeźdźców za wspaniałą walkę o wolność Ojczyzny, to, że pił na bankiecie, którego gospodarze znieważali tych bohaterów, nazywając ich współpracownikami Niemców, to, że nie zażądał przestuchania go, jako świadka w tym nikczemnym procesie, że nie podniósł głosu w obronie niewinnych, że ścisnął rękę zdrajcom Polski, mordercom Polaków, że wbrew woli całego narodu dokonał czynu, w którym obcy widzą zgodę naszą na niewolę — to wszystko osądza ostatecznie p. Mikołajczyka w sumieniu wszystkich prawdziwych Polaków, wszystkich ludzi uczciwych.

Człowiek ten, którego imię na wieki będzie przywalone głazem hańby, na wieki w naszej historii przeklęte, decydując się na czyn tak okropny — działał napewno jak wszyscy tacy ludzie przedewszystkiem przez pychę, która tego syna ludu, walczącego z przeszłością Polski, uczyniła dziedzicem dawnego szlacheckiego warcholstwa, następcą Zborowskich i Radziejowskich.

Ale oczywiście te niskie, osobiste pobudki podbudowane były rzekomo wyższą ideją którą, p. Mikołajczyk chciał się usprawiedliwić zarówno przed sobą jak przed światem; artykuły ukazujące się od dłuższego czasu w podległej panu Mikołaj-

czykowi polskiej prasie londyńskiej, pozwalają nam wyrobić sobie zgrubsza pojęcie, jakie to wysokie cele przyświecały temu dziedzicowi Ponińskich i Branickich, co sam jeden dokonał więcej niż niegdyś cała Targowica.

Z artykułów tych zarówno głupich i prostactkich, jak też wyszukanie literackich i perfidnych, wyczytać można ową szczególną historjozofję, która podsunęta panu Mikołajczykowi przez jego inteligentnych (nie inteligentnych) korepetytorów — dodała dopiero polotu niskiej i małej jego nienawiści do wszystkiego, co się działo w Polsce bez jego udziału, do wszystkich Polaków, myślących inaczej niż on i nie chcących się go słuchać. To wszystko, co się panu Mikołajczykowi nie podobało w Polsce niepodległej i co nazywał on słowami zaczerpniętymi ze słownika naszych wrogów — jego glossatorzy i egzegeci powiązali chytrze ze wszystkim, co było ich zdaniem złe w dawnej Polsce, a co znaczy niemało, bo podług nich poza Staszicem i Wielopolskim cała przeszłość nasza były to jeden ucisk, niewola i ciemnota.

W tej sumarycznej i polohopnej historjozofji nietrudno odnaleźć wspólne nici z tem, co głosi o Polsce dawnej i niedawnej propaganda sowiecka, pragnąca zastąpić polski ucisk — łagodnością Iwana Groźnego, polski szowinizm — międzynarodowością Murawiewa, polski militarizm — pacyfizmem Suworowa, polską niewolę — wolnością Katarzyny.

Zawierając układ z Bierutem, poddając się Osóbce jako jeden z jego zastępców, dopełniał niewątpliwie pan Mikołajczyk aktu nietylko chwilowego i taktycznego znaczenia; podpisywał on zarazem zgodę pomiędzy tą swoją historjozofją, historjozofją "Jutra Polski" i "Nowej Polski" a poglądem na naszą przeszłość i na przyszłość Polski pp. Mołotowa, Berji i Bieruta. Widać też, że grzebiąc tę dawną Polskę i przystępując do budowy "nowej", postanowił zarazem pan Mikołajczyk odciąć się i od Polski Podziemnej, jako ostatniego śmiesznego zabytku awanturniczej i romantycznej przeszłości.

Dokonawszy tego czynu, który istotnie zapewnia mu nazawsze osobne miejsce w naszej historii, pan Mikołajczyk przekonany jest napewno, że pogodził komunizm rosyjski z Polską ludową, taką jak on ją rozumie — czyli nie z Polską Bartosza Głowackiego i Rataja, ale z Polska Szeli i Mikołajczyka.

Machnąwszy ręką na przeszłość Polski, na polską inteligencję i robotników — kalkuluje sobie, że chłop polski będzie miał odtąd spokojne życie pod sowieckim sztandarem.

Nie mamy żadnych wątpliwości, że ciemny pan Mikołajczyk, który nic absolutnie nie wie o Rosji i wie tyle tylko, co jest na jego miarę, o ludzie polskim — zawiedzie się bardzo szybko w swojej chytrności.

Lud polski — nie jest bowiem bynajmniej bezwolną częścią jakiejś zielonej międzynarodówki, którą tak niedawno pan Mikołajczyk wychwalał — ale przede wszystkim nieodłączną częścią narodu polskiego, świadomym dziedzicem historii Polski, która jak każda historia ma i ciemne karty, ale ma też może więcej niż inne karty pięknych i bohaterskich, pełnych ducha braterstwa i wolności.

Ten lud napewno zażąda należnego mu miejsca w polskim życiu i walczyć będzie o swoje dobre prawa, na których wspiera się nietylko jego ale całej Polski przyszłość.

Ale nigdy, przenigdy nie będzie on dochodził tych praw pod osłoną moskiewskich bagnatów i nigdy nie uwierzy, żeby na tych bagnatach przyszść miały do niego wolność i dobrobyt. Nigdy ten lud nie podepcze swej godności, tak jak swoją podeptał pan Mikołajczyk. I Sowiety wiedzą o tem dobrze i dlatego nienawidzą chłopów polskich, najpierw tak jak rosyjskich — jako chłopów, a ponadto jako Polaków, jako sól polskiej ziemi.

To co się stało w Moskwie jest napewno jedną z najciemniejszych kart naszej historii i straszną zestaną na nas próbą.

Ale choć tak teraz trudne do osiągnięcia cele nasze są wciąż te same; niewzruszona nasza wiara w n naród i nadzieja ostatecznego zwycięstwa. Rząd Polski prawowity, na którego czele stoi robotnik polski, prawdziwy przedstawiciel polskiej demokracji bohaterskiej i walczącej — będzie, choć nieuznawany przez obcych, naszą prawdziwą władzą, przy której skupiamy się teraz w jeszcze bardziej zwarte szeregi.

A rzekomy rząd warszawski, rząd moskiewski powstały na zdradzie i hańbie, na wyrzeczeniu się bohaterów, na tchórzostwie i podłości — będzie przez nas zwalczany jako narzędzie najeźdy i zbrodni. I wierzymy, że doczekamy się dnia, gdy wyda na niego wyrok wolny sąd wolnego narodu.

"Gdy gniewny się opiera los,
Dumniejszy tylko jest nasz głos,
Zimniejszy tylko jest nasz wzrok,
Pewniejszy tylko jest nasz krok

W zwycięstwo!"

Pieśń Armji Krajowej.

ZYG MUNT NOWAKOWSKI

PIELGRZYM DOSKONAŁY

„...jeżeli naród polski będzie znowu opuszczony w walce mającej się rozpocząć, jeśli Opatrzność przeznaczyła tę ziemię na wieczne ujarzmienie, jeśli w boju tym ostatnim Polska na gruzach miast i trupach swoich obrońców polegnie, wróg nasz nad jedną tylko pustynią więcej panowanie swoje rozciągnie, a prawy Polak zginie z tą w sercu pociechą, że jeśli własnej wolności i ojczyzny uratować nie dozwolili mu nieba, śmiertelną walką zasłonił przynajmniej na chwilę zagrożone europejskich ludów swobody”.

Słów tych nie napisano w ciągu wojny dzisiejszej, liczą one sobie wiek z górą. Joachim Lelewel wypowiedział je w Brukseli, przemawiając do Polaków i Belgów w rocznicę listopadową 1838 r. Uciążliwy ten dla policji cudzoziemiec został wydany z granic Francji jako „anarchista, prowodyr i podżegacz do rozruchów”. Mniej więcej o dziesięć lat wcześniej Nowosilców udzielił Lelewelowi dymisji z katedry historii na uniwersytecie wileńskim, uważając, że szereży on „nierozumny nacjonalizm polski”. Sądzę, że gdyby Lelewel znalazł się dzisiaj na emigracji, komitett lubelski do nacjonalizmu dorzuciłby jeszcze hojną dłońią faszyzm i tego nędzarza-anachoretę przedstawił jako polskiego landlorda.

Nie mogę stwierdzić, za jakim paszportem wyjechał Lelewel z Francji do Belgii, lecz musiał to być paszport z gatunku „nansenowskiego”, który otrzymują ludzie, nie zamierzający starać się o obywatelstwo obcego państwa. Dziś gdy nasza, do niedawna, pozornie prosta, droga pielgrzymia, skręca nagle, odsłaniając dalekie perspektywy pustynne — dziś nie staje mi przed oczami pielgrzym z Place de l'Alma w Paryżu. Zamiast o Mickiewiczu, myślę o Lelewelu jako o pielgrzymie idealnym, wysublimowanym, pielgrzymie czystym chemicznie, pielgrzymie jako takim. Myśląc o drodze, która nas czeka, widzę pewną ulicę w Brukseli, mianowicie „Rue Lelewel”.

Lelewel to Diogenes emigracji. Onego czasu, gdy historyk, który nie znał co to wypocznik, zatopiony był w pracy, wbiegła do jego pokoju zadyszana gospodyni i, łapiąc oddech, zaczęła mówić coś tak niezrozumiale, że Lelewel nie wiedział o co jej idzie.

— Król! Król pyta, czy...

Lelewel jeszcze nie zrozumiał. Był to dzień jego imienin i król przyszedł mu złożyć życzenia. Mniemam, że gdyby król spytał, czy Lelewel czegoś

nie potrzebuje, czy mu czegoś nie brak, odpowiedź byłaby w stylu Diogenesa:

— Najjaśniejszy Panie, jedyna rzecz, której potrzebuję i której mi zawsze brak, to czas...

Lelewel nie pamiętał o swoich imieninach, za to pamiętał o nich król, i co roku pamiętały dzieci brukselskie. Zapewne kwiaty, przynoszone przez te dzieci, musiały zawadzać w mieszkaniu, pełnym książek, map, papierów, korespondencji przeróżnej, w mieszkaniu zaniedbanym i nieznanym. Testament Lelewela jest czymś, co wzrusza jeszcze bardziej niż testament np. Żółkiewskiego albo Staszica. Hetman, zakazując wszelkiej pompy, przecież polecił trumnę swą obić sukmem szkarłatnym, barwy krwi. Staszic rozporządził: „Przy trumnie nie ma się palić więcej nad sześć świec... Zamiast tej czczości marnej ma by w dzień mego pogrzebu rozdane dziesięć tysięcy na kalekich, chorych i ubogich”...

A Lelewel? „Co do pogrzebu, ponieważ mogę w tej mierze rozporządzić i spodziewam się, że moja wola będzie dopełniona, chcę, żeby ten odbył się bez najmniejszej wystawy, bez najmniejszej ceremonii, bez niepotrzebnych wydatków. Ponieważ ubierają ciało, znajdzie się w mojej walizie ubiór moich zwłok przygotowany: kamizelka, spodnie, szkarpetki i płaszcz, który mi służy przez większą część mego życia. Ponieważ zamykają zwłoki dla złożenia ich w jamie, trumna ma być najprostszą, włożona na wóz i zawieszona jednym koniem do jamy. Na wydatki niezbędne przeznaczam 25 franków i zdaje mi się, że ta suma jest aż nadto dostateczna. Znajdzie się ona w płaszczu w mojej walizie”.

Wola jego nie została dopełniona i pogrzeb Lelewela był wspaniałą manifestacją. Wielki nauczyciel patriotyzmu zmarł w Paryżu, dokąd, przemocą, wywieźli go przyjaciele z Brukseli, pragnąc ratować resztki życia uczonego. Lecz „anarchista, prowodyr i podżegacz do rozruchów” nie sprawił tym razem wiele kłopotów policji francuskiej, pożył bowiem w Paryżu wszystkiego trzy dni. Nad grobem, oprócz mowy polskiej, wygłoszono także inne: przemawiał rabin paryski. Astruc i robotnik francuski Chaband. Mówili o Lelewelu jako o przodowniku demokracji, jako o tym, którego całe życie wypełniła walka o wolność człowieka.

Jest w mowie rabina paryskiego pewien szczegół; przed wojną nie zwrócili nań uwagi przeciwnicy „nu-

TYGODNIK POLSKI

is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription

Monthly 80 cents

Half yearly \$4.80

Yearly \$9.50

“Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879”

merus clausus”, którego stosowania do Żydów-studentów wyższych uczelni donęgały się pewne sfery. Mówi ów rabin: “W r. 1831... Lelewel jako minister oświecenia przełamał zapory nie dopuszczające Żydów do polskich uniwersytetów”. Jakież to niezwykłe! “Grzmia pod Stoczkim armaty”, “tysiąc walczyńskich opuszcza Warszawę”, rozlega się śpiew “Warszawianki”, a Lelewel, ten, wdług Nowosilcowa, propagator “nierozumnego nacjonalizmu polskiego”, myśli, właśnie wtedy, pod rytm strzałów powstania, o dopuszczaniu Żydów do uniwersytetów! rzecz jeszcze bardziej dziwna, że Lelewel naprawdę był nie tylko nacjonalistą, ale — w pewnym sensie — i szowinistą polskim, pragnąc równocześnie, by Polska była wzorem demokracji i postępu. Umiał pogodzić jedno z drugim.

Lecz o tych sprawach może później, na razie wrócimy do pogrzebu. Lelewel, pielgrzym doskonały, pielgrzym i po śmierci, miał aż trzy pogrzeby. Gdy w Paryżu przenoszono trumnę z grobu prowizorycznego, okazała się rzecz straszna; Lelewela pochowano, choć nie umarł jeszcze: był w letargu. Nie pomnę już, gdzie, w jakiej książce, spotkałem się z opisem tej sceny, który dziś jeszcze mrozi mi krew w żyłach. Lelewel gdy otwarto trumnę, wyglądał jak człowiek który stoczył walkę z jej wiekiem. Ręce miał podniesione, — chciał bowiem dźwignąć ciężar wieka i ziemi, chciał wstać z “jamy”, jak w testamencie grób nazywa.

Gdy myślę o tym, wydaje mi się, że on poprostu pragnął... pracować dalej, pisać, tworzyć, badać. Za mało mu było wszystko, co napisał: “Polska wieków średnich czyli w dziejach narodowych polskich postrzeżenia”,

“Bibliograficznych ksiąg dwoje”, “Geographie du Moyen-Age”, “Ocalenie Polski za Łokietka”, “Historyka” i tyle, tyle innych dzieł, oprócz których znalazł się czas na wstęp do “Śpiewów historycznych” Niemcewicza, przedewszystkiem na książkę popularną, którą zostawił po sobie ten wielki uczony, jeden z największych, jakich miała Polska: “Dzieje Polski Joachim Lelewel potocznym sposobem opowiedział”. I ten człowiek jeszcze chciał wstać z jamy-grobu, by pracować dalej!

Trzeci pogrzeb Lelewela, choć odbył się za naszych czasów, przecież jakoś uszedł naszej uwadze i pamięci. Może tę uroczystość przytłoczył pogrzeb inny, a współczesny, mianowicie pogrzeb Słowackiego? Prostu zapomnieliśmy, że 9 października 1889 roku trumna ze zwłokami Lelewela odbyła ostatnią podróż pielgrzymią z cmentarza Montmartre do Wilna, do miasta, gdzie Lelewel w latach 1804-1808 studjował na uniwersytecie, by później, po krótkim pobycie w Krzemieńcu objąć docenturę historii powszechnej w Wilnie. Z kolii docent wileński wykłada bibliografię w Warszawie, wraca jednak do Wilna i staje się “wyrocznią” młodych filomatów, ich najbardziej ukochanym profesorem i wodzem duchowym. Powrót Lelewela do Wilna uczcił Mickiewicz znany wierszem, który najlepiej maluje radość młodych. Kto pomyślał o sprowadzeniu zwłok Lelewela do Wilna, nie wiem. Może Piłsudski pamiętał o tym, co winne Lelewelowi “miłe miasto”?

“Lelewel”... Nazwisko nowe, przeobrażone z prawdziwego, które brzmiało “Laelhoeffel de Loewensprung”. Ignacy Chrzanowski pisze, że ojciec Lelewela był lekarzem nadwornym Augusta III, sądzą jednak, że zachodzi tu jakaś pomyłka. August III umarł w roku 1763, ojciec Lelewela zaś dożył wybuchu powstania listopadowego. Nb. chyba jeden z najpiękniejszych fragmentów “Nocy listopadowej” Wyspiańskiego, to scena, gdy Hermes prowadzi ducha ojca, a syn, zatopiony w pracy, bada jakąś starą monetę. Nie przeczuwa jeszcze, że go porwie to powstanie, że go wtrąci w wir polityki, że otwórzy przed nim rozdział życia, który nie będzie ani szczególnie piękny, ani przekonywujący, ani godny pamięci. Wspomniany już dzisiaj Chrzanowski błogosławił policję francuską za to, że skazując na wygnanie polityka, uratowała uczonego. Dekret policji wyciągnął Lelewela z kręgu “potępięcych swarów”, jak określał emigrację Mickiewicz, i z mętnej wody, gdzie łowiła ryby “różna emigracyjna szuja”, jak się wyraził sam Lelewel.

Mniemam, że lekarz nadworny Augusta III Karl Laelhoeffel de Loewensprung, choć był spolonizowany, był przecież nie ojcem, ale dziadkiem wielkiego uczonego, którego matką była Polka, Ewa Szelutówna. “Lelewel” jest nowotworem szczęśliwym i zarazem nowotworem najbardziej udatym ze wszystkich nowotworów językowych wielkiego historyka i geograf. Pisał trudno, używając okresów i wyrażeń dziwacznych, niezręcznych, nieporadnych wiele, chociaż dzisiaj te nowotwory brzmią już inaczej. Nabrały patyny, pachną archaizmem. Są tak pełne treści, że prze-

niu i używaniu praw cywilnych i politycznych. Na tych to jedynie zasadach oparty porządek towarzyski w Polsce, byt jej trwały zapewnić może. Silny węzeł braterstwa wszystkich jej mieszkańców będzie jej tarczą niezłomną”.

Przekreślając swą działalność polityczną, rzekł Lelewel: “Jeśli oddałem jaką przysługę krajowi, dotyczy to tylko dziedziny wiedzy”. Napewno oddał usługi olbrzymie nauce polskiej jako historyk, geograf, badacz źródeł bibliograf, specjalista od

Joachim Lelewel (1804-1889) - portret w stylu graficznym, przedstawiający mężczyznę z brodą i wąsami, ubranego w ciemny płaszcz i kamizelkę.



JOACHIM LELEWEL

mawiają nie tylko do rozumu, ale i do wyobraźni.

Tręcią najistotniejszą dla Lelewela była Polska i wolność, obie w znaczeniu jak najszerszym i jak najdoskonalszym. “Co do nas nie znamy innej Polski, jak w jej najrozleglejszych granicach” (29 listopada 1837). Nacjonalizm? Oczywiście! Szowinizm? Ależ tak, szowinizm, tylko, że “w tej to Polsce biedny kmiotek, ten jedyny i prawy jej dziedzic... przejść musi na posiadacza... Wszystkie klasy mieszkańców bez różnicy będą miały równy udział w stanowie-

“studjów pomocniczych”, więc np. choćby numizmatyki czy sfragistyki, oraz jako twórca prototypu “Wieczorów pod lipą”, prototypu o wiele głębszego niż to, co sfabrykował później Lucjan Siemieński. Lecz dzisiaj wydaje mi się, że zasługi jego w dziedzinie wiedzy są tak samo wielkie jak zasługi w dziedzinie nauki miłości ojczyzny. Słowa Lelewela, czytane zwłaszcza teraz, buchają żarem, są jak krzak gorejący.

Badacz krytyczny źródeł, twórca nowożytniej historjografii polskiej, obejmującej w dziejach nie tylko histo-

rję państwa, ale historję całego narodu, kulturę i cywilizację, wyznawca pragmatyzmu i metody porównawczej, dążący do uchwycenia "ducha czasu", do podziału okresów historii nie według dat, ale według pewnych prądów zarówno politycznych jak społecznych czy umysłowych, pierwszy nie kronikarz ale istotnie dziejopis, który zagłębiał się w poszukiwaniu prawdy — Lelewel nie był nigdy pomniejszycielem Polski, przeciwnie, drogą wiedzy jak na owe czasy najbardziej ścisłej doszedł do uwielbienia Polski i jej ducha. "Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej" porównywane z późniejszymi znacznie, sławnymi "Dziejami Polski w zarysie" Bobrzyńskiego, choć zestawienie to, oczywiście, może dotyczyć jedynie śmiałości konstrukcji i siły wyrazu, ponieważ Bobrzyński doszedł do wniosków zupełnie innych niż te, jakie wyciągnął Lelewel.

Pielgrzym, który każe pochować się w starym płaszczu a bez surduta, bez trzewików nawet, ubóstwiał Polskę po norwidowsku i po chopinowsku zarazem:

I była w tym Polska od zenitu

• Wszechdoskonałości dziejów

Wzięta tęczą zachwytu —

Polska — przemienionych

kołodziejów!

Taż sama zgoła,

Złotopszczoła...

(Poznałczyłbym ją na krańcach

bytu!)

Użyłem tego ryzykownego cytatu, i nagle, zupełnie nagle i niespodzianie, pod skanżję Norwda przyszyły słowa z tego samego wiersza: "O! Ty — co się w dziejach zowiesz ERA..." — słowa, których pojawienie się tak spontaniczne i tak nie ugruntowane niczym, tłumaczy chyba tylko fakt, że piszę o historyku. Jeśli Diogenes odrzucił kubek jako rzecz zbyteczną, ponieważ przekonał się, że może pić, czerpiąc wodę ręką, tedy Lelewel, Diogenes wielkiej emigracji, któremu duma kazała odrzucić wszelką pomoc, skądkolwiek by ta pomoc szła, otóż Lelewel-Diogenes ręką czerpie z historii Polski szczerę złotą, znajdując je wszędzie, we wszystkich epokach, z których najbardziej podziwiał epokę przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa. To dla niego "aurea prima aetas", lecz umie on i w czasach o wiele późniejszych a szczególnie wystawionych na ostrze krytyki, znaleźć rzeczy piękne i pokazuje je emigracji.

Mający w swych żyłach tyle krwi niemieckiej, wielbiciel "gminowładztwa" u Słowian, Lelewel inną obrał postawę w stosunku do przeszłości naszej niż dzisiejsza emigracja, która nie pomna na to, że może brak nam

będzie Polski przez długi, długi czas, dołożyła wszelkich starań, by tę Polskę zohydzać w oczach swoich i obcych. Gdy my sami ukuliśmy tu zarzut, że Polska była państwem — o Boże — "faszystowskim", gdy sporniewieraliśmy cały dorobek dwudziestolecia, gdy palcem wskazywaliśmy na wyolbrzymione przesadne błędy naszego państwa, Lelewel uczył swoich i obcych, mówiąc: "Z małej bardzo liczby państw i narodów chrześcijańskich, które utrzymywały konstytucyjne ze średnich wieków swobody, Polska była jedyną, która nie tylko że je dochowała, ale... bez przerw w ciągu kilku wieków, swobodami konstytucyjnymi, jakie w średnich wiekach urosły, cieszyła się i razem z nimi upadła... Tak, do bytu narodu polskiego zdaje się pomysł swobód konstytucyjnych przywiązany i zdaje się jakoby naród polski bez tych swobód nie mógł mieć bytu".

"Nierozumny nacjonalista", szowinista polski, a, powtarzam, jak z pewnością powiedzieliby dzisiaj i swoi i obcy, "faszysta" Lelewel wygnany z Francji lewicowiec i twórca polskiego ruchu demokratycznego, Lelewel stawał przed oczami Polaków i Brłgów Polskę jako żywy, nieśmiertelny protest przeciwko temu co nasza epoka zwie... totalizmem: "Ciężkie są wprawdzie przewinienia wolności: przecież jest w samych zaburzeniach narodu wolnego jakieś rozwiniecie się władz i zdolności, jakiś ruch, jaka godność człowieka, których na próżno szukać będziesz w dziejach ludów, gdzie nie masz jak rozkaz i posłuszeństwo..."

Mowy, manifesty, postania, to wszystko zaledwie opiłki, odpryski ołmiej, nadludzkiej wręcz pracy Lelewela, ale z tych właśnie drobniaków dałoby się ułożyć jakiś wielki dydaktyczny w najlepszym słowa znaczeniu, katechizm miłości ojczyzny i zarazem poradnik dobrej, rozumnej a gorącej propagandy.

Jest u Lelewela pewien rys, który mógłby nas razić czy nawet odpychać: słowianofilstwo. Lecz "idea słowiańska", tak niepopularna a tak nicudolnie propagowana za naszych, londyńskich czasów przez ludzi, związanych z Polską konjunkturalnie tylko, u Lelewela nabiera szczególnego wraza. Doktryner, znalazłszy się u władzy w dniu wybuchu powstania listopadowego, projektuje odezwę sejmową do Rosjan, powołując się na dawne czasy, na "sapieżyński projekt, aby naród Polski i naród Rosyjski składały oba, każdy osobno, dwa państwa sobie nie podległe; każde osobno na własnym stać miało prawic; w jednym byłyby panujący car dziedziczny, w drugim król elekcyjny; jedno mogło być despotyczne, drugie rzeczpospolita. Między nimi nie mogło

być wojny; owszem trwałe między nimi przymierze zaczepne i odporne i wspólne przeciw nieprzyjacielowi działanie". W jakąś tragiczną, straszliwą pustkę padają słowa: "My sejmujące wolne obie Izby, oświadczyliśmy w obliczu Boga i ludzi, że nie mamy do narodu Rosyjskiego, że nigdy na jego całość i bezpieczeństwo nastawać nie myślimy. Pragniemy z nim w braterskiej zgodzie zostawać i w braterskie związki wchodzić, a czynić mu przysługi, jakich wspólny interes obu narodów potrzebuje, do jakich każdy naród wolny z postępek światła jest powołany."

I do tego projektu dodaje ktoś z innego bieguna, ktoś tak biały jak Lelewel był czerwony, mianowicie Adam ks. Czartoryski, uwagę: "Za najlepszy dowód, iż nie mamy żadnej nienawiści do Rosjan, możnaby im wskazać nasz sposób obejścia się z wojskiem rosyjskim odchodzącym z wielkim księciem, i z jeńcami, których w całości odesłaliśmy do współbraci."

Słowa odbijają się jak od skały, lecz Lelewel, już po upadku powstania, podejmuje swą myśl na nowo, wołając do Rosjan z Paryża w roku 1832: "Braćmi was zowiemy... braćmi jesteście, boście narodem z innymi ludami do wolności wdychającym". Gdy dn. 25 lipca 1841 r. Polacy urządzili w Londynie obchód Murawiewa, Pestla, Rylejewa i in., Lelewel pisze: "Polacy prześladowani, ścigani, wypędzeni przez Rosjan, — wzywają wygnańców innych narodów na obchód pamiętki — czyjej? Rosjan... Grób męczenników jest ołtarzem, naokoło którego różne narody przyjmują komunję wolności".

Ten "panslawista" umie odróżniać naród rosyjski od rosyjskiego państwa: "Jeżeli cesarstwo rosyjskie popełniło zbrodnię, przywłaszczając sobie Polskę, Bóg chciał, żeby ta zbrodnia była zarazem jej ukaraniem: Polska jest żyjącą rewolucją, która Rosja włości za sobą jak zbrodniarz swoje kajdany". Jakże aktualnie i jak silnie brzmią dzisiaj te słowa z przed pół wieku! Rzucił je pielgrzym, pielgrzym doskonały, idący uparcie do Polski wielkiej, wolnej, demokratycznej, do Polski w jej najszerszych granicach, do Polski, której wzrostu i świetności żywiłem "było braterstwo polityczne wyznań."

Wyznanie swej wiary sformułował, stojąc już daleko od potępieńczych swarów, już zatopiony w pracy, w pracy nadludzkiej, dla Polski: "Miłość więc ziemi ojczystej jest powszechnym narodem naszego znamięciem i cnotą, przydadmy do tego przy słodyczy nieustraszoną odwagę, przy zbytnej drażliwości łatwe przebaczenie urazy i uniesiona cierpliwość, znoszenie wszystkiego, gdzie tylko idzie o najdroższe nam dzieje."

Z ARCYDZIEŁ SZTUKI POLSKIEJ
ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W AMERYCE



Maks Gierymski:
WYJAZD NA POLOWANIE

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

RĘKA UMARŁEJ

*Na wschodzie gwiazda spadająca wzwyż
już tonie w mleku rosnącego świtu,
a jeszcze wyżej Południowy Krzyż
nurza się w niebie barwy antracytu.*

*Koło mnie cyprys, niby mroku stróż,
stoi posępny, głową w gwiazdach tonie,
jam też posępny, gdy wiem wszystko już,
i ręce łamiąc, stoję na balkonie.*

*Od wschodu z wiatrem leci sina mgła,
w ręku mam pustą już szklankę od wina,
i nagle błysła w załamaniu szkła
gwiazda, co właśnie tamtą przypomina.*

*Gdy ktoś odleci poza bytu kres,
może mu z czoła taka gwiazda spadnie?
Lecz nie — to była jedna z moich też,
co w reszcie wina zagasta mi na dnie.*

*I znów powiała srebrno-sina mgła
i jakimś kształtem mnie dotknęła miękka.
O, powiedz miła, czy tyś tędy szła,
na moich włosach czy to twoja ręka?...*

*Na wschodzie różą zapłonął się świt
i słońce pełną wylało się misą.
Szklanka stłuczona. Mgielny prysnął mit.
Ręką dotknęła mnie gałąź cyprysu.*

ALEKSANDER JANTA

G A B R J E L

(Walcząc o Wolność Ojczyzny, zginął w bitwie o Londyn)

Czytelnicy "Tygodnika Polskiego" pamiętają być może wydrukowany w numerze z dnia 25 lutego br. (Nr. 113) "Wyjątek z listu prywatnego szefa okręgu "Mazowsze" do Bernarda..."

Wydrukowanie tego dokumentu było hołdem Redakcji "Tygodnika" dla dobrze jej znanego autora, którego nazwisko wówczas, w lutym, nie mogło jeszcze być ujawnione. I nawet w liście samym pseudonim autora został ze względów bezpieczeństwa zmieniony z Gabrjela na Józefata.

Ze względów bezpieczeństwa, powtarzam. Wówczas w lutym nie wiedzieliśmy jeszcze, co się stało z Gabrjelem, czy jeszcze żyje?

Aresztowany "przy robocie" w lipcu 1944 szef okręgu Mazowsze bronił się, kiedy Niemcy otoczyli kwaterę, w której się znalazł, dowodząc polską akcją sabotażową i zbrojną na tyłach armji niemieckiej. Mieściła się ta kwatera w pobliżu miasta Lille w północnej Francji, w okręgu gęsto zamieszkanym przez Polaków, u jednego z tych Polaków właśnie. Otczeni bronili się zaciekle. Jeden z towarzyszy Gabrjela uciekając przez okno otrzymał serję 14 kul z pistoletu maszynowego. Dopiero w ogrodzie Niemcy dopadli odstrzelującego się uparcie Gabrjela, który został ranny. Odstawiono go wprost do szpitala pół przytomnego, nie tylko dla rany, ale ponieważ w dodatku oprawcy Gestapo pobili go strasznie przy aresztowaniu. W trzy dni później, nie dbając o ranę i ślady pobicia, ewakuowano na wschód. Inwazja przeciw już rozpoczęta, zwycięstwo aljanckie we Francji dla którego pracowal — bliskie. Nie zobaczy go, nie doczeka się zwycięstwa Gabrjel. Zakutego i bosso etapami będą transportować do Niemiec. Będą go przesłuchiwać, męczyć — nie powie nic. Prześle tylko jeden meldunek, niesamowity sygnał istnienia, już jakby poza granicą rzeczy ludzkich: "Zrobiłem wszystko co można. Wasze cukierki są w złym gatunku". Trucizna nie podziałała. **Chciał już umrzeć, musi jeszcze żyć...** (Każdy z nich, pracujących w akcji podziemnej nosił przy sobie truciznę na wypadek przesłuchiwań gestapowskich, truciznę w cukierku, gdyby nie ufał sobie że utrzyma tajemnicę organizacji, gdyby już nie mógł wytrzymać tortur, jakimi Gestapo próbowało ją wymusić).

A potem zamknęła się za nim czar-na kurtyna milczenia na długie miesiące. Wszyscy, od szefa organizacji,

Justyna, do tych prostych robotników polskich we Francji, już wolnych, z którymi pod okupacją pracował, pytali się w najwyższej trosce o Gabrjela. Czy aby wyżyje, czy aby doczeka się zwycięstwa, czy go jeszcze zobaczą? W listach, w których przyjaciele pytali o jego los, już po rozbiciu Niemiec przychodziły niedomówienia, złowrogo brzmiące słowa: podobno żył jeszcze w styczniu.

Aż wreszcie dotarła do nas prawda, nie wszystka napewno, bo nie wiemy o tych ostatnich miesiącach męczeńskiego życia, przez jakie przeszedł nasz przyjaciel, dotarła do nas prawda już tylko podsumowaniem rachunku jego życia: Gabrjel zginął w lutym, w obozie niemieckim koło Hamburga. Nie doczekał się.

I już teraz wszystko można powiedzieć, kim był, co robił, czemu zginął. Tajemnica wojskowa, troska o jego własne bezpieczeństwo przestały nagle obowiązywać. I już niema w nas niepokoju jakim podsyta była każda myśl o nim, bo ten niepokój zakrzepił w gorzką, bolesną nieodwołalną pewność ciosu, który nas odciął na zawsze od obecności jego między nami.

Odsłaniają się tak jedna po drugiej prawdy tej wojny, a każda dodaje do sumy niepowetowanych strat jedną jeszcze pozycję, jedno jeszcze nazwisko, jednego jeszcze człowieka. A każda mnoży tę krzywdę, jaką czujemy, pozbawieni raz po raz niezastąpionych przyjaciół, tylu bliskich nam i wspaniałych ludzi, tylu najlepszych istot, tylu nieporównanych żołnierzy, tylu szlachetnych Polaków.

Z bardzo ciężkiem sercem wpisujemy dzisiaj do wylczenia strat naszych w tej wojnie prawdziwe nazwisko Gabrjela: Jerzy Paczkowski.

Dnia 1 września 1939 roku rano obudził mnie telefon z ambasady w Paryżu. On, Jerzy przy telefonie: tyle tylko, żeby ci powiedzieć, że się zaczęło. Warszawa zbombardowana. O świecie przekroczyli granicę. Głos uwiązał mu w gardle. Nie trzeba nic dodawać, aby odsłoniła się w pełni cała przeraźliwość tego stwierdzenia, bolesna jak podcięcie batem, obrażająca w proch tyle złudzeń.

Spotkaliśmy się jeszcze tego samego dnia, jak co dnia zresztą, póki byłem w Paryżu, aby wzajemnie uświadomić sobie pełniej jeszcze to, co się stało, aby sprecyzować w niekończących się rozmowach to przestą-

pienie progę, to przejście z jednej epoki w drugą, w tę drugą niewiadomą, groźną, złowrożeńnie ciągnącą w przepaść.

Była głęboka melancholja rozczarowania w jego powiedzeniu, że "kończą się dla ludzi naszego pokolenia możliwości kosztowania słodczy życia". Jerzy wrócił był właśnie z urlopu spędzonego na południu Francji; doświadczył tam silniej niż kiedykolwiek tego czaru, jaki się w człowieku wyzutym na chwilę z troski o jutro, z niepokoju i strachu o dziś, już dojrzałym a jeszcze bardzo wrażliwym budzi czasem odczuciem pełni i zadowolenia, świadomością osiągnięcia równowagi, znalezienia swojego miejsca w świecie.

Traktował zresztą zarówno świat jak i siebie przez pół żartem, przez pół tylko na serio. Posiadał instynktowne rozumienie najwyższej z sztuk pięknych — sztuki życia, załamywanej zawsze jednak w krzywym zwierciadle satyry, ciętego dowcipu, za którym przepadał, ostrej opinii i radosnego wyśmiewania słabostek, póź, manier, patosu, sztucznej wzniosłości, narodowych wad i ludzkich przywar. To był jego żywioł. Terminował przeciw u mistrza Jana Lechonia, po nim objął "Cyrulika Warszawskiego", jemu dedykował zbiór własnych złośliwości wierszem i prozą, wydany p. t. "Na ostrzu Noża".

Był autorem dowcipów, z których śmiała się cała Polska. Wierne dziecko Warszawy i cygan paryski, autor popisowych fraszek i czarujących piosenek dla teatrzyków warszawskich (miał do tego specjalną smykałkę, pisał piosenki jeszcze pod okupacją do muzyki Dygata, w tem wstrząsającą "Kołysankę Warszawy") nieporównany kompan i kolega, liryk wysokiej próby i wysokiej powściągliwości, to wszystko się ciśnie pod pióro, kiedy wspomnieć przychodzi Jerzego.

Ale to nie wyczerpuje sylwetki tego wspaniałego chłopca. Zawsze robił wrażenie chucherka, o ostrym profilu, przekornego tylko po sztabacku. Nigdy nie wyżył się owego studenckiego wdzięku, tego swoistego szczeniactwa w kamuflowaniu, którego pomagała nabijana z powagą fajka; ciągnął ją w skupieniu, zamysłony popijał czerwone wino i dopiero się rozkrochmalał, dopiero zaczynał mówić rzeczy nie tylko zabawne, ale także istotne — jak gdyby z perspektywy własnego bogostanu łatwiej mu było patrzeć i lepiej rozumieć. Miał poku-

sę szukania tej perspektywy i ulegał jej w miarę możliwości, po swojemu wielbiąc życie, przyjaźń i literaturę, zażywając tych wartości od możliwie najlepszej strony, ze znanstwem mędrca, wrażliwego tylko na jakość. Dziecinnie przywiązany do polskiej tradycji, lirycznie wielbiący Marszałka, wychowany w tej tradycji przez swoich starszych kolegów ze Skamandra i przez sam fakt chłonnego życia w Polsce wierność jej zachował i przeniósł poza granice kraju. I poza tę datę pierwszego wrzenia, od której wszystko poczynało się dziać inaczej.

Przyszło więc najpierw upokorzenie wrześniowej kłęski. Wstrząs bezprzykładny, który wyrócił fundament na jakim budowało swój świat pokolenie Polski Niepodległej, już pewnej siebie, już rozsadzającej własne ramy snem o potędze, o dopełnianiu się marzeń wieszczych.

Miał Jerzy wszelkie szanse uniknięcia służby wojskowej, zdrowie wątłe, sytuację w ambasadzie paryskiej, w której łatwo było wykazać,

że się jest niezastąpionym, ale nakaz tego czasu odsłaniał przed nim jedną tylko drogę i jedna zapadła decyzja, decyzja czynu, więc służby w wojsku. Czuł za całe swoje pokolenie odpowiedzialność, za to, co się stało. Rosła w nim powoli ale wyraźnie świadomość posłannictwa, będącego obowiązkiem młodych poetów, pisarzy intelektualistów, ludzi słowa i myśli, które teraz należało obrócić w czyn zamienić w żywy przykład dla wszystkich innych i odrobić tym przykładem zaniedbania czasów pokoku. Po przyjeździe do Coetquidan Jerzy zasłynął w legendarnej 3ej kompanji K. M. tamtejszej podchorążówki z gorliwości służbowej i wogóle z brania wojska na serjo. Nigdy się tego po nim nie spodziewali przyjaciele, utrzymujący, że go znają. Okazało się, że miał dla nich w zapasie całą serję niespodzianek. Tę samą serję jaką tak obficie pokazała właśnie ta kompanja niby przekrój polskiej inteligencji, niby syntezę jej elity uosobioną postaciami ambasadora Józefa Lipskiego, radcy M. S.

Z. Malhomme'a, byłego sekretarza Becka Meysztowicza, Jeśmana — taka była reprezentacja MSZ'u, malarzy Aleksandra Żywa i Józefa Natanson, Zygmunta Lityńskiego, Marjana Piotrowskiego, dziennikarzy, Jerzego Paczkowskiego poety, Adolfa Bocheńskiego, znakomitego pisarza politycznego młodego pokolenia, magistra Feliksa Bocheńskiego, ekonomisty, wszystko zrobieni ludzie — wszystko rekruci, tytuł innych — przekrój całej Polski.

Tacy to byli podchorążowie po wrzeźniu, ludzie, z których na emigracji wykluwało się odrodzenie, którzy reprezentowali zdrową, męską odpowiedź na kłękę, świadomi zadania, jakie się na nich skupiało, a jakiemu na imię było — odrobić to, co się stało, pokazać samym sobie i światu, że nie straconego "póki my żyjemy".

Wiara ich i nadzieja opierała się niestety na jednej jeszcze mrzonce. Tą mrzonką była Francja, jej siła, jej wojskowe przygotowanie.

Dokończenie nastąpi.



Janina Konarska-Słonimska

MARJA CURIE SKŁODOWSKA I PIOTR CURIE PRZY PRACY
NAD SWYM WYNAŁAZKIEM W LABORATORJUM W PARYŻU

LUDWIK BERGER

KOMPROMITACJA "SOWIETOLOGÓW"

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że od około dwu lat stoimy z pewną niezaradnością wobec takta kompromitacji "sowieologów". Sowieologowie to nie tylko znawcy, czy taksatorzy sił sowieckich, pracujący dla wywiadów różnych sztabów. Sowieologowie to fachowcy z zakresu produkcji przemysłowej, to eksperci z dziedziny nowoczesnej komunikacji, to socjologowie, którzy uważali się za zorientowanych w reakcjach duszy ludzkiej. Ponieważ przewidywania tych wszystkich kategorii znawców sowieckiego życia politycznego, gospodarczego i duchowego zawiodły — niema podstaw dziś do wymagania wiary w przepowiednie tych samych znawców, odnoszące się do dalszego rozwoju wydarzeń, decydowanych przez Sowietów. **Kierunek działania państwa sowieckiego stał się najbardziej niezny w czasie obecnym.** Bo uprzednio różni sowieciologowie tłumaczyli zjawiska, dziejące się poza granicznym murem Związku Republic Radzieckich, — przewidywali następstwa tych zjawisk — a przeciętny, czy nawet nadprzeciętny mieszkaniec Europy zachodniej i Ameryki wierzył tym interpretacjom. Dziś przeciętny, a nawet nadprzeciętny mieszkaniec Europy zachodniej i Ameryki uważa, że zawiodł się na inepretacjach sowieciologów. Tym samym skłonny jest wierzyć w oświadczenia i wytłumaczenia podawane mu dziś coraz częściej nie przez pośrednictwo interpretatorów, lecz **bezpośrednio ze źródeł sowieckich.** Nietyle więc ilość druków propagandowych sowieckich, które znalazły się w krajach anglosaskich decyduje o wzroście popularności państwa sowieckiego, ile załamanie się wiary w poglądy i wytłumaczenia fachowców poza sowieckich. Przeciętny mieszkaniec krajów anglosaskich, krajów kultury łacińskiej, czy krajów Środkowego Wschodu gotów jest dziś wbrew znanym mu i podawanym mu przez nacownych świadków faktom, wierzyć w demokratyzację polityki wewnętrznej Sowietów i w zatrzymanie pędu imperialistycznego ZSRR, wyrażone likwidacją Kominternu. Tak więc z faktu kompromitacji sowieciologów wywodzi się zjawisko, które albo jest wzrostem zaufania do oświadczeń sowieckich, albo zanikiem zaufania do krytycznych tłumaczeń działania sowieckiego.

Wiele przemawia za tym, że bezmała powszechny zanik zaufania do podawanych przez sowieciologów przepisów na rozwiązanie sowieckiej zagadki, wykorzystany został zręczy-

nie przez aparat Związku Sowieckiego dla zdobycia korzystnej publiczności w Europie zachodniej, w Wielkiej Brytanji, jej dominjach, wreszcie w Ameryce. Chciałoby się koniecznie znaleźć miarodajną odpowiedź na pytanie: dlaczego badacze sowieckiej siły, sowieckiej polityki wewnętrznej i zagranicznej — niczego nie przewidzieli? Dlaczego sowieciologowie tak bardzo się skompromitowali?

Odpowiedzieć można tylko domysłami. Wśród domyslników jednym z przemawiających do przekonania jest domyslnik o paradoksalnym wyglądzie. Badacze zagadnienia sowieckiego, szczególnie przed wybuchem wojny, widzieli w systemie polityki i gospodarki sowieckiej przeciwstawienie dla systemu polityki i gospodarki niemieckiej. Widząc w ustroju sowieckim przeciwstawienie ustroju niemieckiego (niekoniecznie systemu hitlerowskiego), sowieciologowie wszystkich narodowości a wśród nich także i Niemcy sami, oddalali się od poznania prawdy. Tak więc, głównie nauka niemiecka i głównie niemieccy badacze sztabowi i socjalni, kierowani ambicją wykazania różnicy pomiędzy systemem sowieckim a systemem niemieckim, doprowadzili do niewiedzenia prawdy w Sowietach. **A prawda polegała na tym, że w Moskwie wprowadzano w czyn na wielokrotnie większej przestrzeni niż w Niemczech, dokładnie te same założenia. M. Kalinin pisze w "Siłę Państwa Radzieckiego" w sposób bardzo bezpośredni, ale identycznie w ten sam sposób, jak czynił to von Thunen około dwa wieki przed tym, że racjonalna polityka i gospodarka polegają na ustaleniu sobie punktu centralnego i dopasowywaniu do potrzeb tego punktu w wszystkich procesach produkcji i wymiany w coraz dłuższych promieniach, sięgających do ustalonego centrum. Znany jest w wykładzie ekonomii politycznej **thunenowski wywód**, że terytorja, ludność i warsztaty pracy działają zawsze na rzecz jakiegoś określonego ośrodka, którym w skali małej jest masto, w skali dużej jest centrum państwa, w skali jeszcze większej jest państwo centralnie położone. Stąd pochodził kardynalny punkt widzenia niemieckiej szkoły historycznej, że Niemcy jako państwo centralno europejskie muszą nieodwołalnie górować nad wszystkimi krajami Europy. Z tej samej zasady wywodziła t. zw. **młoda niemiecka szkoła historyczna**, z jej czołowymi przedstawicielami **Schmollerem** i **Sombartem**, pogląd o zmienności gantunku człowieka zależnie od położe-**

nia geograficznego, sytuacji materialnej i przesłanek biologicznych. Młoda szkoła historyczna niemiecka rozpatrywała jeszcze człowieka jako konsumenta. Analizowała potrzeby człowieka-konsumenta w zależności od stopnia kultury "historycznej" i materialnej i stawiała tezy o różnorodności tych potrzeb. Później niemiecka **geopolityka** poprzez następcę **Zentraleuropę**, **Lebensraum** i wyższości rasowej doprowadziła do kompromitacji system, którego wykładcą w dziedzinie ekonomii był **Werner Sombart**, w dziedzinie nauk o społecznych **Marcel Deat** (socjalista francuski pogodzony z hitleryzmem).

Sowieciologowie różnych narodowości nie zwracali uwagi na uproszczony wykład **von Thunena**, zawarty wyraźnie w żołytych broszurowych oficjalnych wydawnictwach sowieckich m. i. takich, jak wspomniana już **"Siła Państwa Radzieckiego" M. Kalinina**. To, co **von Thunen** wywodził zawiłą profesorską metodą niemiecką, używając trzech zdań pobocznych, dwóch zdań wręczonych i jednego bardzo długiego zdania głównego, i posługując się stylistyką taką na setkach gęsto zadrukowanych stron — powiedział **Kalinin** prościej i krócej: "Półwysep Kolski, Karelo-Fińska SSR, Peczora, Nordvik, Norylsk, dorzeczje Tunguski, Wierchojańsk, Kołyma dostarczają coraz większej ilości niklu, cyny, apatyty, nefelinu, żelaza węgla, ropy naftowej, szpatu topnego, grafitu, miki, soli kuchennej, złota". Wyliczone terytory obsługuje centrum państwa sowieckiego wyliczonymi surowcami. — Państwo sowieckie dla odegrania roli centrum polityczno-ekonomicznego i centrum władania na przestrzeniach o wiele większych, niż te, które brały pod uwagę Niemcy od starożytności, **Thunena** do współczesnego **Haushofera**, musiało prowadzić politykę zdobyczą. **M. Kalinin** we wspomnianej **"Siłę Państwa Radzieckiego"** nie ukrywa tego faktu. **Kalinin** pisze: "Już kształtujące się państwo rosyjskie musiało prowadzić liczne wojny... w celu zdobycia terytorjów przyległych, niezbędnych dla zabezpieczenia jego granic. Oczywiście, że dzisiejsza, każdemu znana, resorbcja sowiecka "terytorjów przyległych, niezbędnych dla zabezpieczenia granic" jest tylko dalszym ciągiem tej samej **thunenowskiej** zasady działania, którą wprowadziły w czyn Sowiety zgodnie z twierdzeniem **Kalinina przed ćwierć wiekiem**. Tą samą **thunenowską** zasadą wzmacniania centrum siły państwowej przez polityczno-gospodar-

cze, a ewentualnie także i militarne podległe, orządkowywanie sobie coraz odleglejszych prowincji i coraz innych narodów wypowiedział **Józef Stalin** w swym dziele **"Marksizm i kwestia narodowo-kolonialna"**. Stalin wchodzi szczegółowiej w metodykę wykonania planu. Plan ma wykonać partja komunistyczna. W tym celu winny działać ekspozytura partji komunistycznej w krajach, które mają być podporządkowane władaniu **centrum**. "Zadanie partji polega na tym, żeby dopomóc masom pracujących narodów nie wielkorusyjskich dopędzić Rosję, która je wyprzedziła..." pisze wyraźnie **Stalin**.

Sowietolodzy nie rozszyfrowali zagadki ZSRR, ponieważ nie traktowali Sowietów jako wykonawców teorii imperializmu niemieckiego. Ale dziś bez trudu można stwierdzić szereg faktów, które udawadniają, że polityka sowiecka dalej konsekwentnie idzie po linii państwa **thunenowskiego**. W okresie, gdy w Europie uwolnionej z pod jarzma Niemiec powszechnie panuje głód — Sowiety w tych częściach Europy, które znalazły się pod ich władaniem, przeciwdziałają ku ogólnemu zdumieniu, ku niezrozumieniu sowietologów — nawet darmowemu przywozowi żywności z zewnątrz. Znane są trudności, jakie czyniły i czynią Sowiety dostawom żywnościowym, odzieżowym i sanitarnym UNRRA'y. Znany jest fakt, że Sowiety nie dopuścili opieki humanitarnej i akcji "rekonstrukcyjnej", czyli odbudowawczo-przemysłowej UNRRA'y do krajów bałkańskich, przez nich zarządzanych i do Polski lubelskiej. Znany jest fakt, że Sowiety nie zezwoliły, by nadwyżki zbożowe rumuńskie dostawały się drogą normalnej wymiany handlowej do głodujących krajów środkowo-wschodniej Europy. Wiadome jest, że wszystkie propozycje instytucji charytatywnych żydowskich, mające na celu wysyłkę paczek pomocowych dla ludności żydowskiej w krajach dawnej okupacji niemieckiej, zostały konsekwentnie odrzucone przez Sowiety. Delegat rządu lubelskiego w Paryżu, Jędrzychowski usprawiedliwiał odmowę władz sowieckich na wpuszczanie paczek pomocowych dla Żydów w Polsce, obawą przed zawzięcią ludności polskiej. W Bułgarii taką samą odmowę uzasadniano prościej: dobrobytem Żydów bułgarskich. Istotną przyczyną niedopuszczania odzieży i żywności dla zbiegłych narodów Europy opanowanej przez Sowiety, istotną przyczyną niedopuszczania do "rekonstrukcji" przemysłu w tych krajach Europy — jest **thunenowska dążność do utrzymania niskiego poziomu życia i niskiego poziomu produkcji w krajach peryferyjnych, co proporcjonalnie podwyższa znaczenie kraju centrum**. Co

wreszcie umożliwiła wykonanie zadania partji komunistycznej w tych krajach, polegające — zdaniem **Stalina** — "na tym żeby dopomóc masom pracującym narodów nie wielkorusyjskich dopędzić Rosję, która je wyprzedziła."

Sowietolodzy, którzy wychodzili z założenia, że Rosja Sowiecka w fazie trockistowskiej pragnęła rewolucji w różnych krajach, zależnie od stopnia dojrzałości mas do czynu rewolucyjnego, że zaś Rosja Sowiecka w fazie stalinowskiej pragnęła rewolucji w jednym państwie — popełnili omyłkę. Rosja sowiecka po ustabilizowaniu swej władzy na terenie własnym, nie uważała rewolucji ani w jednym kraju, ani też w skali międzynarodowej za cel sam w sobie. Uważała rewolucję za środek do imperjalistycznej rozbudowy waszej struktury państwowej. Ale imperjalizm Rosji Sowieckiej był inny od imperjalizmów krajów zachodu. Nie był to imperjalizm kalkulacji handlowej według wzoru brytyjskiego i nie był to imperjalizm na nowoczesną modłę rzymską według wzoru francuskiego. Nie był to więc imperjalizm różnokontynentalny, ze stosowaniem samorządu w kolonjach, z awansowaniem kolonji do równości praw, jak Algier lub dominja brytyjskie. **Był to imperjalizm thunenowski**. Z punktem centralnym i z dookolnymi, promienście rozlokowanymi w płaszczyźnie, terenami o celowo wywoływanym niskim standardzie życia, niskim uprzemysłowieniu, ograniczonym importem, ograniczonym dochodzie. Stąd to, gdy Wielka Brytania, gdy wszystkie inne imperja pragną jaknaj-

większego wzrostu konsumpcji w kolonjach, bo przecież zyski metropolji płyną z dostaw do kolonji — Sowiety pragną jaknajniższego stanu konsumpcji w krajach przez siebie podbitych, bo zyski Sowietów płyną z niskiej ceny roboczej, z niskich potrzeb konsumcyjnych i z tylekroć używanej możliwości przerzucania milionów sił roboczych z jednego terenu podbitego do innego terenu podbitego. Sowietolodzy, którzy obliczali siły gospodarce, reakcje psychiczne, a co za tym idzie siłę militarną państwa sowieckiego według tych przesłanek, które mogą być stosowane tylko w krajach zasady liberalizmu, a więc w krajach imperjalizmów na modłę zachodnią, skompromitowali się. **Siła produkcyjna w imperjach budowanych na zasadzie thunenowskiej opiera się o takie czynniki kalkulacji, jak wielomilionowe obozy pracy przymusowej, jak niskie, o wiele niższe od standardu życia bytła, potrzeby żywnościowe całych narodów, jak transporty czynione siłą pociągową ludzką przy nie liczeniu się z milionowymi ofiarami życia ludzkiego, jak inwestowanie bez obliczania stawek amortyzacji i stopy rentowności**. Rosja sowiecka czerpała wielkie korzyści z faktu, że przez szeregi lat tzw. "sowietolodzy" fałszywie tłumaczyli jej poczynania. Więcej nawet, Rosja sowiecka z całą pewnością inspirowała zreszcie takie tłumaczenie najważniejszych zjawisk jej życia państwowego, które było najdalej od prawdy. Albowiem Rosja sowiecka napewno nie życzyła sobie kompromitacji "sowietologów". Ale w tej chwili kompromitacja "sowietologów" jest faktem.

CZYTAJCIE NOWĄ KSIĄŻKĘ

KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

"POBOJOWISKO"

Jest to pomnik literacki ku czci żołnierzy polskich,
którzy tak po bohatersku walczyli z Niemcami
w kampanji wrześniowej.

•
Ilustracje

ZDZISŁAWA CZERMAŃSKIEGO

•
NAKLAD "ROY PUBLISHERS"

Cena — \$2.50

ROMAN FAJANS

Wywiad z generałem Borem-Komorowskim

O powstaniu warszawskim pisano i mowiono wiele i rozmaicie. Relacje o jego genezie, przebiegu i likwidacji nie zawsze były ze sobą zgodne. Wiele szczegółów pozostało do dziś dnia niewyjaśnionych.

Od dwóch godzin siedzę naprzeciwko generała Bora Komorowskiego i słucham jego opowiadania. Przeplątam czasem tę opowieść pytaniami, na które otrzymuję zwięzłe odpowiedzi. Dowódca Armii Polskiej i warszawskiego powstania, ten, którego nazwisko powtarzały dzień w dzień, przez dwa miesiące, dzienniki całego świata, opowiada o bohaterskich i tragicznych zmaganiach stolicy Polski z dziesięciokrotną przewagą niemiecką. Generał Bór zaczyna od rzeczy, które szczególnie mu leżą na sercu. Tłumaczy dlaczego bitwa warszawska została wogóle rozpoczęta i dlaczego wybrano na nią taki, a nie inny moment.

— Bitwy — mówi generał Bór — żądał cały naród, domagały się jej stronnictwa polityczne. Gdybym nie dał hasła rozpoczęcia, powstanie wybuchłoby samorzutnie i przerodziłoby się w szereg nieskoordynowanych, dzikich akcji zbrojnych, niemożliwych do opanowania i nie mających żadnych realnych szans sukcesu.

Data wybuchu została nam narzucona przez wypadki. Nie można jej było opóźnić, nawet o parę dni, z powodów czysto wojskowych. Mogliśmy rozpocząć jedynie wówczas, gdy front przebiegał poza Warszawą. Gdyby stolica znalazła się na samej linii frontu niemiecko-sowieckiego, o wybuchu powstania nie byłoby co marzyć, gdyż mielibyśmy wtedy w Warszawie dziesiątki tysięcy niemieckich żołnierzy, czołgi i artylerię w wielkiej sile. Rozpoczęliśmy w chwili, gdy linia frontu zbliżyła się do Warszawy na bardzo niewielką odległość. Byliśmy pewni, że wojska rosyjskie wejdą do miasta po pięciu, sześciu dniach. Nie tylko my zresztą tak kalkulowaliśmy. 9 sierpnia 1944 Stalin oświadczył premierowi Mikołajczykowi, że podług sowieckich obliczeń, armia czerwona miała zająć Warszawę 6 sierpnia. Obliczenia nasze zgadzały się ze sobą niemal zupełnie.

Wiedzieliśmy nadto, że Niemcy zaczynają orjentować się w naszych przygotowaniach. Zaostrzyli godzinę policyjną, wzmocnili posterunki, budowali umocnienia. Władze okupacyjne rozplakatowały pobór, na pracę do Niemiec, 100 tysięcy mieszkańców Warszawy, mężczyzn i kobiet. Każdy dzień zwłoki w rozpoczęciu powstania mógł więc zniweczyć jego szanse sukcesu.

Przed wybuchem zaszedł wypadek, który mógł pokrzyżować nasze plany. Dowództwo polskie znajdowało się w tym okresie na Woli, w fabryce mebli Kamlera, niedaleko ghetta i cmentarzy, Powązkowskiego i Ewangelickiego. Do tej fabryki wiodły dwie bramy, z dwóch równoległych ulic. W tym samym budynku mieściła się fabryka odzieży. Niedaleko w dwóch bramach, Niemcy zbudowali dwa bunkry. Tuż obok, w magazynie Monopolu Tytoniowego, stała niewielka załoga niemiecka.

W dniu rozpoczęcia powstania, — przed samym wybuchem, przybyć mieli do fabryki Kamlera: Delegat Rządu na Kraj, wicepremier Jankowski, i prezes Rady Narodowej, Pużak. Spotkanie to zwołane zostało na godz. 15.30. Nieco później przybyć miała do fabryki Kamlera "osłona", której zadaniem było opanowanie przyległego magazynu tytoniowego, i później, pełnienie straży. Samo powstanie wybuchnąć miało o godzinie 17.

Nagle, przed godz. 16, przed fabrykę zajeżdżała wojskowa ciężarówka niemiecka z kilku członkami niemieckiej straży kolejowej. Przybyli oni celem odebrania płaszczy ze znajdującej się w tym samym budynku fabryki odzieży. Nieszczęśliwy zbieg olicznoci zrzucił, że w chwili, kiedy ciężarówka znajdowała się na podwórzu, wyszedł nagle jeden z naszych członków załogi fabrycznej, z karabinem w rękę. Niemcy zaczęli do niego strzelać. Wówczas pojawił się właściciel fabryki, Kamler i kilku innych członków załogi i ostrzelali Niemców. Po chwili trzech Niemców było zabitych, a reszta uciekła, stawiając na nogi sąsiednie posterunki niemieckie. Nicprzyjacieli natychmiast obsadzili bunkry i otworzył ogień na fabrykę Kamlera. Niemcy wprowadzili do akcji cekaemy. Obsada fabryki odpowiedziała ogniem i granatami ręcznymi. Jednym celnym rzutem granatu rozbito km i zlikwidowano jego obsługę. Osłona polska, której przybycia oczekiwaliśmy przed godz. 17 nadeszła wprawdzie, ale początkowo nie mogła się przebić. Walki trwały do wieczora i kiedy zakończyły się, powstanie warszawskie było już w pełnym rozwoju. Zlikwidowano niemieckie bunkry i zdobyto magazyn tytoniowy, przyczem okazało się, że w ostatniej chwili Niemcy wzmocnili jego obsadę do 50 ludzi i 2 karabinów maszynowych. O godz. 21 byliśmy już panami sytuacji.

Pytam generała Bora, jakie były dalsze losy dowództwa.

— W fabryce Kamlera — odpowiada — przebywaliśmy przez pierwszych siedem dni powstania. Potem, ponieważ Niemcy posuwali się naprzód linia bojowa doszła już niemal do samej fabryki, Dowództwo przeniosło się na Stare Miasto i ulokowało w wielkim nowym budynku szkolnym, niedaleko pałacu Krasińskich. Powędrowaliśmy w tam przez ghetto. Postój w tej szkole trwał znowu tylko siedem dni, gdyż linia bojowa znów się zbliżyła i żołnierze nasi obsadzili już nawet budynek szkolny, jako jedną z pozycji. Wówczas jeszcze raz Dowództwo przesunęło się do jednego z gmachów Ministerstwa Sprawiedliwości. Tam pozostawaliśmy przez cały czas pod ciężkim ogniem nieprzyjaciela. Gdy wprowadziliśmy się tam, budynek ten miał pięć pięter, kiedy go opuszczaliśmy, był jednopiętrowy. Cztery piętra zburzone zostały przez pociski i bomby.

Następny etap był bardzo ciężki. Z Ministerstwa Sprawiedliwości na nowe m. p. przedostać się trzeba było kanałami ściekowymi. Szliśmy przez pięć godzin schyleni, po pierś w cuchnącym płynie i mazi, w zupełnych ciemnościach. Było z nami około 50 osób. Kobiety i co słabsi mężczyźni przewracali się i trzeba było ich wyciągać, gdyż inaczej utonęliby. Prąd przewracał ludzi. Nazajutrz tymi samymi kanałami przeszło około 2,000 osób. Wiele utonęło.

Umieściliśmy się w podziemiach nowego gmachu PKO, przy zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. I tam jednak nie można było pozostać dłużej niż tydzień. Któregoś dnia niemiecka bomba w otwór windy, dostała się do naszych podziemi i tam wybuchła. Mieliliśmy około 30 zabitych, a gen. Pełczyński został ciężko ranny. Zginęła jedna z łączniczek moich, Basia. Całą jej rodzinę wymondowało Gestapo.

Ostatnim m. p. Dowództwa był nowy gmach PAST-y. Pozostaliśmy tam do końca.

— Ilu ludzi miał pan generał w swym ścisłym sztabie i kwaterze głównej?

— Około 30 osób, w tym sześć kobiet, łączniczek i maszynistek. Kobiety te jak zresztą wszystkie niewiasty, które brały udział w powstaniu, spięły się niezwykle dzielnie. Ogółem w powstaniu wzięło udział około siedem tysięcy kobiet. Oddały one ogromne usługi naszej sprawie.

— Jak Dowództwo utrzymywało łączność z linią i światem zewnętrznym?

— Z linią wyłącznie za pomocą łączniczek. Komunikacji telefonicznej nie mieliśmy żadnej. Łączność ze światem zewnętrznym utrzymywana była przez radiostacje kwarcowe, których posiadaliśmy około dwudziestu, z czego trzy przy Dowództwie. Większość tych radiostacji została rozbita, lub uszkodzona przez ogień i bomby niemieckie.

— Jak przedstawiał się kontakt z armią czerwoną i jak wyglądała sprawa pomocy tej armii dla powstania?

— Już na jakiś czas przed wybuchem powstania — odpowiada gen. Bór — przebywał w Warszawie sowiecki kapitan Kaługin. Rola jego nie była właściwie zupełnie jasna. Był on najprawdopodobniej oficerem wywiadu nie miał jednak żadnych pełnomocnictw, ani od marsz. Rokossowskiego ani od gen. Berlinga. W czasie powstania komunikował się ze mną i niektórymi dowódcami naszymi, m. in. z gen. Monterem. Gdy wybuchło powstanie, kpt. Kaługin zaczął nadawać depesze o sytuacji i nastrojach w Warszawie, przy czym niejednokrotnie prosił o energiczną interwencję armii marsz. Rokossowskiego. Wiem również, że wysłał raporty do Stalina, m. in. przez naszą radiostację: Próbował nawiązać kontakt Armii Krajowej z armią czerwoną. Wszystkie jego usiłowania spełzły jednak na niczym. Nigdy nie nadeszła żadna odpowiedź i kontakt nie został nawiązany.

W drugiej połowie września, gdy sytuacja była już bardzo ciężka, kpt. Kaługin przedostał się na prawy brzeg Wisły, do wojsk Berlinga i najprawdopodobniej jego interwencji przypisać należy sowieckie zrzuty amunicji i żywności. Zrzuty te przyniosły nam jednak bardzo niewielką pomoc efektywną. Dokonywane one były wprawdzie w nocy i z niewielkiej wysokości (samoloty sowieckie przelatywały niemal nad samymi dachami domów), lecz początkowo zrzucano nam trochę broni i amunicji sowieckiej, której nie mogliśmy wcale używać a potem gdy zaczęto zrzucić niemiecką, zrzuty te, zarówno jak zrzuty żywności, dokonywane były bez spadochronów wskutek tego znaczna ich część uległa zniszczeniu.

Ja sam również próbowałem nawiązać kontakt radiowy z marszałkiem Rokossowskim. Jednak poza kilku ściśle technicznymi informacjami co do zrzutów, nic od niego nigdy nie otrzymałem odpowiedzi.

Prócz Kaługiny zjawia się raz w Warszawie inna grupa oficerów sowieckich. Wylądowali oni przy ulicy Wspólnej i najstarszy rangą, kapitan artylerji, oświadczył nam, że są przysłani przez marsz. Rokossowskiego. Papierów nie mieli, oczywiście, żadnych trudno było wyjaśnić ich charakter, lub też stwierdzić jakieś realne skutki ich misji.

Pytam generała Bora o zrzuty sowieckie.

— Zrzuty brytyjskie, w których tak wybitny udział brało lotnictwo polskie, były niestety, krwawo okupione, lecz przyniosły nam wielką otuchę i niejaką pomoc. Wrześnieowe zrzuty amerykańskie, dokonane w biały dzień, były bardzo efektowne i miały nader korzystny wpływ na morale naszych wojsk i ludności. Ich efekt praktyczny by jednak również

jęte przez Niemców. Poza tym zrzuty te dokonywane były z bardzo znacznej wysokości (około 3 tysięcy metrów). Potrzebowały nieraz po 20-30 minut na lądowanie i wiele ich zostało zestrzelonych przez Niemców.

Pytam generała o członków Rządu Krajowego, aresztowanych obecnie przez Rosjan.

Wszystkich piętnastu aresztowanych — stwierdza generał Bór —



WÓDZ NACZELNY GENERAL BÓR-KOMOROWSKI

dość ograniczony. Jak wiadomo, rokowania amerykańsko-sowieckie o uzyskanie prawa lądowania na terytorjum sowieckim dla samolotów amerykańskich niosących pomoc Warszawie, trwały niepomierne długo, i gdy Sowiety udzieliły wreszcie tego zezwolenia, obszar stolicy, zajęty przez Armję Krajową, skurczył się już ogromnie. Wskutek tego znaczna część zrzutów spadała na obszary za-

znam dobrze i od dawna. Są to ludzie głęboko uczciwi, wielcy patrioci, przywódcy wszystkich demokratycznych stronnictw polskich.

Pytam jeszcze generała Bora, czy były ze strony niemieckiej próby zjednania jego samego i Armii Krajowej dla akcji przeciwsowieckiej.

— Już w czasie konspiracji — odpowiada Generał — Niemcy usiłowali wszelkimi sposobami nawiązać kon-

takt i rozmowy z Dowództwem Armii Krajowej. Proponowali mi kilkakrotnie spotkanie w neutralnym miejscu, sugerowali nawet, byśmy przybyli tam w maskach, co uniemożliwiłoby rozpoznanie naszych wysłanników, gwarantowali całkowite bezpieczeństwo: odrzuciłem kategorycznie.

Przy omawianiu warunków kapitulacji Warszawy, generał SS Obergruppenführer von dem Bach, który dowodził wojskami niemieckimi, walczącymi w stolicy, zaproponował, że zaprosi mnie na śniadanie, wspólnie z wybitnymi niemieckimi osobistościami wojskowymi i politycznymi "celem omówienia ewentualnej współpracy". Odpowiedziałem, że w śniadaniu takim udziału nie wezmę.

Gdy pojechałem do generała von dem Bach, by omówić ostateczne warunki kapitulacji, zaproponował mi on znowu wspólną walkę przeciw "największemu wspólnemu wrogowi, bolszewikom". Odmówiłem raz jeszcze i oświadczyłem mu wprost, że zaczęliśmy wojnę przeciw Niemcom w dniu 1 września 1939 r., że nadal ją prowadzimy i że uznamy ją za skończoną wówczas, gdy Niemcy będą ostatecznie pobici. Wtedy von dem Bach przesunął rozmowę na inną płaszczyznę. Zapytał, czy nie byłoby możliwe ciche porozumienie, polegające na milczącym zawieszeniu broni, przyczym Armja Krajowa pozostałaby w spokoju Niemców, oni zaś nie rusziliby Armji Krajowej. O umowie takiej nie wiedziałby nikt na zewnątrz. Odmówiłem znowu...

Po przewiezieniu nas do Langwasser, pod Monachium, przybyło do mnie pewnego dnia dwóch cywilnych panów, którzy przedstawili się jako wysłannicy Himmlera i ponowili raz jeszcze uprzednie propozycje wspólnej walki przeciw bolszewizmowi. Oczywiście, nie zmieniłem mego stanowiska. Wówczas Niemcy uznali widocznie dalsze rozmowy ze mną za beznadziejne, gdyż przez dłuższy czas dawano mi spokój. Dopiero w kwietniu br. zjawił się niejaki p. Benninghaus z byłego Towarzystwa Polsko-Niemieckiego. Nie ujawnił on, w czym imieniu mówi ze mną, lecz zaproponował raz jeszcze współpracę. Oświadczył że jeśli zgodzę się zostaną natychmiast zwolniony, jak również wszyscy ci oficerowie Armji Krajowej, których wskażę. Gdy odmówiłem, po paru dniach wywieziono nas i rozpoczęła się nasza wędrówka po obozach.

Kończąc rozmowę generał Bór-Komorowski składa hołd prasie podziemnej.

— Przed wojną — oświadcza — nie orientowałem się zbyt dobrze w tajnikach pracy dziennikarskiej. Podczas pięciu lat ubiegłych poznałem jednak tę dziedzinę pracy i nauczy-

łem się ją cenić. Obserwowałem z bliska prasę podziemną, byłem z nią w ścisłym kontakcie i widziałem jej robotę. Odwiedzałem drukarnie, w których obok maszyn leżały rewolwery, a obok materiału zecerskiego granaty ręczne. Widziałem licznych dziennikarzy i kolporterów, którzy

każdą godzinę swej pracy opłacić mogli i często opłacali życiem. Byli oni jak żołnierze w pierwszej linii. Ich zasługi dla Sprawy są olbrzymie.

Na tym zakończyła się rozmowa z generałem Bór-Komorowskim i o powieść jego o warszawskim powstaniu.

OTO CZEM JEST "WOLNOŚĆ" W POLSCE



MARKI NOWEGO "RZĄDU POLSKIEGO"
Z HERBEM SOWIETÓW

OPINJE I ZDARZENIA

OŚWIADCZENIE PREZESA ROZMARKA

Prezes Kongresu Polonji Karol Rozmarek zrozumiał doskonale jak wielką, jak historyczną ciężką na nim odpowiedzialność w tej chwili. Pierwsze oświadczenie Kongresu w sprawie potwornego procesu Przywódców Polski Podziemnej — było dowodem, że przywódcy Polonji Amerykańskiej nie tylko uczuciowo reagują jak powinni na tę zbrodnię, ale zdają sobie sprawę ze straszliwych politycznych niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie obojętność świata na los Polski.

W tej chwili dochodzi nas mocne, stanowcze, wielkiej politycznej wagi i klasy oświadczenie prezesa Rozmarka w sprawie nowego tak zwanego "rządu polskiego". Jest to deklaracja, godna człowieka, który czuje się przedstawicielem wielkiej świadomej masy, ożywionej najpiękniejszymi ideałami nowego kraju i wielkimi tradycjami starej Ojczyzny. Polonja przemówiła ustami pana Rozmarka — tak jak powinna była i jak miała prawo, będąc tak ważną częścią społeczeństwa amerykańskiego. Wierzymy, że ta deklaracja — to zapowiedź walki nieustępliwej, którą Polonja musi stoczyć do końca, aż do otwarcia oczu tym, którzy nie widzą, co grozi już nie tylko całej Europie, ale i Stanom Zjednoczonym bezpośrednio.

ZA PRAWOWITYM RZĄDEM

Na wiadomość o utworzeniu nowego rządu moskiewskiego w Warszawie wysłana została z New Yorku następująca depecha do premiera Arciszewskiego:

New York, 23 czerwca, 1945
Pan Tomasz Arciszewski
Prezes Rady Ministrów
Rzeczypospolitej Polskiej
Londyn

W tragicznej dla Polski chwili, kiedy pod pozorem utworzenia w Moskwie rzekomo polskiego rządu przygotowuje się uznanie i utrwalenie politycznej i narodowej niewoli naszej Ojczyzny, przesyłamy Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i Rządowi pozostającemu pod Pana, Panie Premierze, przewodnem, zapewnicznem nieugiętego trwania przy prawowitych władzach Rzeczypospolitej Polskiej i gotowości do poniesienia wszelkich ofiar w obronie wolności i Niepodległości Polski Demokratycznej.

Potępiając jak najostrzej te jednostki, które nie poddane materialnemu przymusowi, przykładają rękę do utrwalenia zbrodni dokonanej na

naszym kraju i naszych współbraciach przez najazd sowiecki, wyrażamy niezłomną wiarę, że oparty o niesfałszowaną wolę wszystkich Polaków o postawę wojska naszego, Rząd Polski przeciwstawi się z całej swej mocy bezprawnym decyzjom, niezgodnym z wolą i interesem Polski.

Za Polski Komitet Obywatelski w Nowym Yorku: Dr. Henryk Aschke-

nazy, Marian Dąbrowski, Dr. Józef Frejlich, Romuald Gantkowski, Oskar Halecki, Zygmunt Klingsland, Władysław Korsak, Kazimierz Kranc, Michał Kranc, Jan Kucharzewski, Henryk Landau, Jan Lechoń, Dr. Leopold Obierek, Zygmunt Protasiewicz, Rudolf Rathaus, Zbysław Roehr, Dr. Zygmunt Rucker, Stanisław Strzetelski, Józef Sułkowski, Antoni Tarnowski, Kazimierz Wierzyński.



Przeciw nieczystościom cery

HELENA RUBINSTEIN słynna znawczyni wszelkich kwestji kultury ciała, pragnie dopomóc Wam do pozbycia się brzydkich skaz, szpeczących Waszą cerę. Podaje Wam w tym celu trzy podstawowe preparaty dla osiągnięcia ośniewającej urody.

BEAUTY GRAINS—ziarnka piękności, drobne ziarnka rozpuszczające się przy delikatnem tarcu, usuwają powierzchowne nieczystości cery. —50c. \$1.00.

"WATER LILY LOTION" wyjątkowo skuteczny płyn leczniczy przeciw podrażnionej cerze. \$2.00. \$3.00.

MEDICATED CREAM — Krem Leczniczy — nałożyć wieczorem na podrażnione miejsca i zostawić przez noc. \$1.00.

HELENA RUBINSTEIN

Do nabycia we wszystkich większych sklepach

STRASZLIWA LISTA

Aktorzy polscy, uratowani z obozów niemieckich obojczy zjazdu, na którym ustalono straszny rejestr strat, pomisjonanych przez teatr polski w ciągu pięciu lat okupacji. Na liście tej widnieją nazwiska zarówno sław teatralnych jak też młodych, którzy wędrowali dopiero w życie i obiecywali wiele. Są wśród nich zmarli tak zwana śmiercią naturalną, to znaczy z głodu i rozpaczcy, są zamordowani w obozach, rozstrzelani, zmarli z wycieńczenia i tacy, którzy jak Michał Znicz odebrali sobie życie, nie mogąc przetrzymać tortur. Są wreszcie paści w bonaterskim porywie wrzesniowym. Wysocka, Stanisławski, Przybyłko-Potocka, Czaplinska, Sulima, Strubicka, Fritsche, Sliwicki, Chmieliński, Rapacki, Brodniewicz, Niewiarowicz, Hajska, Węgierkowa, Broniszówna, Michalak, Machalski, Tadeusz Frenkiel — to tylko część nieznaczna tej listy — a przecież, gdy myślimy, że te nazwiska są już przeszłością — zdaje się nam, że jakaś katastrofa żywiołowa — zburzyła całą sztukę aktorską w Polsce. Aktorzy nasi, znajdujący się na wolności powinni wydać stanowczo "Księgę męczeństwa teatru polskiego". Byłaby ona jednym z najbardziej wstrząsających dowodów tego, co poświęcił dla wolności naród, którego teraz, po zwycięstwie, oddaje się w nową niewolę.

LEON SCHILLER ODNALEZIONY

Wśród tylu strasznych wiadomości, jedna radosna, która naprawdę jest wielkim szczęśliwym wydarzeniem dla kultury polskiej. W obozie koncentracyjnym w Murnau znalazł się Leon Schiller, największy bez porównania reżyser i inscenizator polski, jedno z kilku wielkich nazwisk sztuki polskiej. Znalazł się na tyle widać zdrowy, że już stanął na czele zespołu, który objeżdża skupiska polskie w Niemczech i daje dla nich przedstawienia. W zespole tym figuruje cały szereg młodych przeważnie artystów, tak jak Schiller cudem wydartych śmierci. Są tam: Wasiutyńska, Lena Zelwerowiczówna, Fijewski, Bohdan Wasiel i Ewa Kuncewicz-Schillerowa, która wzięta na przy-

musowe roboty i straciwszy nadzieję, że kiedykolwiek ujrzy męża, nagłe spotkała się z nim na wolności. Schiller ma teraz pracę wagi społecznej, wagi narodowej niezwykłej i napewno jak zawsze całą duszą jest jej oddany. Ale trzeba już teraz pomyśleć, aby ten wielki artysta, którego twórczość teatralna wszędzie może być zrozumiana a wszędzie budzić będzie entuzjazm, znalazł możliwość rozwinięcia jej w najlepszych warunkach. Schiller powinien dać się poznać w Ameryce i jego koledzy i uczniowie tutaj przebywający powinni zrobić wszystko, aby tak się stało. Przesyłamy Leonowi Schillerowi słowa najszczerzej braterskiej radości, że jest wolny, że może znów pracować. Pozdrawiamy gorąco jego i jego zespół.

ODCZYTY KOSIDOWSKIEGO
W KALIFORNJI

Zenon Kosidowski, bawiący od pewnego czasu w Kalifornji rozwija tam żywą działalność odczytową.

Dnia 22go odbył się w Domu Polskim w Los Angeles odczyt Kosidowskiego pt. "Polska była kwitnącym krajem postępu", dn. 29go będzie w tej samej sali drugi pt. "Udział żołnierza polskiego w zwycięstwie Aljantów". Oba odczyty zorganizowane są przez Zjednoczone Towarzystwa Polskie w Los Angeles, oba ilustrowane są doskonałymi filmami.

Polonia w Kalifornji — oddalona jest od centrów polskich i bardzo pragnie bliższego z rzeczami polskimi kontaktu. Odczyty Kosidowskiego, który mówi doskonale, ciepło i z zapałem i tyle ma do powiedzenia, są też prawdziwym wydarzeniem i świętem dla naszych kalifornijskich rodaków.

KURS JEZYKA POLSKIEGO
W WASHINGTONIE

Dzięki życzliwości prof. Paul Douglasa prezydenta "American University" który przed wojną odwiedził Polskę i jej przyjacielem odąd pozostał, wprowadzony został do programu tej uczelni stały kurs polonistyczny, obejmujący prócz nauki języka polskiego także podstawowe wiadomości z zakresu historii i literatury polskiej.

Kurs polski w stolicy U. S. A. powołany został w bardzo kompetentne ręce naszej rodaczki pani Ireny Popławskiej-Leineweber, od wielu lat w Washingtonie zamieszkałej i posiadającej za sobą poważne studia i prace naukowe na uniwersytetach w Polsce i Stanach Zjednoczonych. Pani Irena jest siostrzenicą śp. Jana Ludwika Popławskiego, wybitnego przed laty publicysty i działacza narodowego, który w swych niezapomnianych artykułach z przejawów żywotności polskiej w kraju i zagranicą, często zwracał baczną uwagę

już przed pół wiekiem — na rozwój i znaczenie Polonji amerykańskiej.

Ciesząc się bardzo z otwarcia tej tak ważnej placówki polskości w centrum stołecznym U. S. A. prosimy czytelników naszych o pamięć o niej i szerzenie o niej wiadomości wśród licznej gromady młodzieży polsko amerykańskiej, przebywającej w Washingtonie. W 1-ym półroczu z kursu korzystało około 155 studentów i studentek, z czego większość rdzennych amerykańców — na czele z majorem U. S. Army. Obecnie czynny jest kurs letni. Po informację pisać: American University, Washington, D. C.

PRACA POLSKIEGO TEATRU
ARTYSTÓW

Od "Polskiego Teatru Artystów" otrzymaliśmy następujący komunikat:

Zespół Polskiego Teatru Artystów rozpocznie jak zwykle swój sezon w jesieni. "Polski Teatr Artystów" rozpoczął swą pracę w r. 1942 sztuką "Pastorałki" Szyllera i borykając się z ciężkimi warunkami materialnymi w ciągu trzech sezonów zimowych wystawił jedenaście sztuk, z każdą sztuką objeżdżając piętnaście do dwudziestu miast w Stanach Zjednoczonych oraz liczne miasta Kanaadyjskie.

Zespół "Polskiego Teatru Artystów" ma nadzieję, że w jesieni Polonia Amerykańska powita otwarcie sezonu równie serdecznie jak zawsze dotąd.

Zamieszczone przez nas studjum Zygmunta Nowakowskiego "Pielgrzym doskonały" ukazało się w tomiku "Dyplomatyka i łowy" wydanym w Londynie, wywiad z generałem Borem-Komorowskim zaś w "Paradzie".

W POPRZEDNIM 25(130)
NUMERZE "TYGODNIKA
POLSKIEGO"

Bezwarunkowa kapitulacja; Jan Lechoń: Kaden; Michał Chormański: Nowe Noce Listopadowe; Obrazy Belli Paes-Leme Zamoyskiej; W zwycięstwo — pieśń Armji Krajowej; Stefan Mierzwa: "Polonia w Ameryce, dzieje i dobrobek" Dr. Karola Wachtla; Wacław Grubiński: O Karolu Irzykowskim; William Bright: Sowietcka Administracja Okupacyjna; Opinie i Zdarzenia.

POLSKI PENSJONAT —
RENA FARM

Idealne miejsce do spędzenia wakacji w malowniczych górach "Berkshire". Dobra kuchnia, nowoczesny komfort, różne sporty. Dojazd w 3½ godziny z Grand Central Station, New York do stacji East Chatham, N. Y., skąd 5 minut do Rena Farm samochodem pensjonatu. Zgłoszenia przyjmuje: Irena Chełmicka, Rena Farm, East Chatham, N. Y.